

**Thomas Ligotti**

## **Akcja odwetowa**

Był to mój pierwszy dzień pracy jako osoby odpowiedzialnej za wypełnianie formularzy, w przeszklonym, witrynowym biurze. Niemal natychmiast, gdy tylko wszedłem do środka – zanim jeszcze zdołałem zamknąć za sobą drzwi lub uczynić choćby jeden krok głębiej do wewnątrz – jakiś rachityczny dziwak, noszący niedopasowane ubranie i okulary, o wiele za małe jak na jego łysiejącą głowę, podszedł, obskakując biurko, aby się ze mną przywitać. Mówił podekscytowany, wypluwając słowa jedno za drugim:

„Witam, witam. Jestem Ribello. Pozwól, proszę, że pomogę ci w urządzeniu się tutaj. Wybacz, że nie mamy wieszaka na płaszcz, możesz zamiast niego użyć tamtego pustego biurka.”

Teraz, jak mi się wydaje, znasz mnie na tyle dobrze, mój przyjacielu, by wiedzieć, że można powiedzieć o mnie wiele, ale nie to, że mam naturę snoba, ani że jestem kimś, kto poprzez swoje usposobienie obnosi się pośród ludzi ze swoim poczuciem wyższości; głównie dlatego, że po prostu brakuje mi energii na przejawianie tego typu zachowań. A zatem uśmiechnąłem się i spróbowałem się przedstawić, lecz Ribello wciąż zasypywał mnie swoim słowotokiem.

„Przyniosłeś to, co ci kazali?” – zapytał, spoglądając na aktówkę, którą trzymałem luźno w prawej ręce. – „Musimy sobie zapewnić swoje własne zaopatrzenie, jestem pewien, że już ci o tym powiedziano.” – rzekł, zanim zdążyłem cokolwiek wtrącić. Następnie odwrócił lekko głowę, by dyskretnym spojrzeniem omieść pomieszczenie, w którym stało osiem biurek, z czego jedynie połowa była w jakikolwiek sposób zajęta, a także otaczające pokój szafki na dokumenty, wznoszące się niemal pod sam sufit. – „Mam nadzieję, że nie miałeś żadnych planów co do lunchu” – powiedział – „Pokażę ci jedno takie miejsce. Są pewne sprawy, o których

pewnie chciałbyś wiedzieć. Informacje, anegdota... Szczególnie taka jedna anegdota... Ale to niech trochę poczeka. Spróbuj się jakoś tu urządzić.”

Ribello upewnił się, że wiem, które biurko zostało wyznaczone na moje miejsce pracy, wskazując na jedno z nich, znajdujące się najbliżej głównej witryny.

„To było moje biurko. Teraz, gdy już jesteś z nami, mogę się przenieść trochę dalej.”

Antycypując następne pytanie, które chciał zadać Ribello, powiedziałem, że odebrałem już stosowne instrukcje odnoszące się do moich obowiązków, polegających wyłącznie na wypełnianiu rozmaitych formularzy dla Organizacji Quine; firmy, której interesy i aktywność były nieodłącznie związane ze wszystkimi przejawami działalności, tak publicznej jak i prywatnej, po tej stronie granicy. Jej główna siedziba mieściła się daleko od miasta, w którym otrzymałem posadę; miasta będącego – można powiedzieć – daleką, szarą placówką, odległą nawet od regionalnych centrów operacyjnych firmy. W takich miejscach, oraz wielu innych, podobnych, Organizacja Quine również utrzymywała swoje biura, nawet jeśli były to tylko ciemne, parterowe klitki, przesiąknięte kwaśno – słonym odorem. Nie mogłem nie zwrócić uwagi na ten zapach, który przywiódł mnie do spekulacji, że ten budynek, zanim został przejęty jako obiekt służący wypełnianiu różnorodnych formularzy powiązanych z działaniami monopolisty, Q.Org, jak ją często nazywano w skrócie, mieścił w sobie niegdyś, przez długi czas, sklep z marynatami. Być może zainteresuje cię informacja, że to przypuszczenie potwierdził później Ribello, który wziął na siebie wdrożenie mnie w obowiązki nowej pracy, która była pierwszą, jaką podjąłem w tym malutkim mieście, składającym się z ledwie dwóch ulic.

Kiedy tak siedziałem przy swoim biurku, na którym piętrzyły się wysokie stopy dokumentów czekających na wypełnienie, usiłowałem jakoś wymazać z pamięci powitanie, jakie zgotował mi Ribello. Byłem na skraju załamania, z powodów, które doskonale znasz (moja kondycja nerwowa i tak dalej...), a poza tym – dodatkowo – cierpiałem z powodu braku odpowiedniego odpoczynku. Znaczną część winy za moje chroniczne

niedospanie można było zrzucić na kobietę, która prowadziła pensjonat, w którym zamieszkiwałem, w małym pokoiku na ostatnim piętrze. Od tygodni błagałem ją, aby zrobiła coś w sprawie hałasów, które dochodziły z miejsca pod dachem budynku, bezpośrednio nad sufitem mojego pokoju. Moje lokum było nader skromnych rozmiarów, który zdawał się być jeszcze mniejszym ze względu na jedną ze ścian, która nachylała się pod znacznym kątem, równoległe do dachu domu. Nie chciałem mówić wprost gospodyni, że pod dachem zagnieździły się myszy lub jakieś inne szkodniki, jednakże taką implikację zawierała moja wzmianka o „hałasach”. W rzeczywistości owe „hałasy” sugerowały, że chodzi o coś dalece większego niż typowe domowe szkodniki. Kobieta cały czas powtarzała, że w końcu przyjrzy się problemowi, ale ostatecznie nigdy nie mogło to dojść do skutku. W końcu tego ranka, kiedy miałem się stawić po raz pierwszy w nowej pracy – po kilku tygodniach zmagania z bezsennością połączoną z niepokojem wynikającym z mojego stanu nerwowego – pomyślałem, że być może nadszedł czas, aby skończyć z tym wszystkim, właśnie tam, w moim małym pokoju na ostatnim piętrze budynku w malutkim, składającym się z dwóch ulic miasteczku, umiejscowionym po drugiej stronie granicy krainy, w której żyłem całe życie i gdzie – jak wszystko zapowiadało – nie miało być mi nigdy dane powrócić. Przez długi czas siedziałem na krawędzi łóżka z butelką lekarstw, którą przerzucałem z jednej ręki do drugiej. „Jeśli zaprzestanę przerzucania tej butelki tam i z powrotem – co wydawało się być działaniem pojawiającym się bez specjalnego udziału lub kontroli mojej woli – i okaże się, że trzymam ją w lewej ręce, połknę całą jej zawartość i skończę ze sobą, a jeśli okaże się, że trzymam ją w prawej ręce, wstanę i pójdę do pracy w biurze Organizacji Quine.”

Nie przypominam sobie, w której ręce trzymałem butelkę, czy też pozwoliłem jej wypaść, gdy tak przerzucałem ją z ręki do ręki, czy co się w ogóle stało. Wszystko, co pamiętam, to moment, gdy wchodzę do biura, z miejsca napadnięty przez Ribello, oferującego się z tą swoją nonsensowną pomocą w „urządzeniu się”. I gdy tak wypełniałem te liczne formularze, musiałem jakoś przygotować się na wyjście na lunch

z tym dziwakiem. Żadna z pozostałych trzech osób w biurze – dwóch mężczyzn w średnim wieku i jedna starsza kobieta, która siedziała w dalekim rogu biura – nie poświęciła mi nawet odrobiny takiej uwagi jak Ribello, którego zdążyłem już zacząć postrzegać jako całkowicie nieznośną osobę. Rozumiałem ich zachowanie, biorąc pod uwagę okoliczności i nikłą wagność mojej obecności, choć oczywiście mogło być wiele innych przyczyn, dla których zostawili mnie w spokoju tamtego ranka. Pamiętam, że lekarz, który leczył ciebie i mnie, i którego, jak się domyślam, ciągle widzisz, często z lubością powtarzał, z miną mądrego doradcy: „Choć możesz uważać inaczej, nie ma na świecie rzeczy, której nie można wytrzymać – nie ma!”. Gdyby nie udało mu się mnie na to nabrać, byłbym bardziej ostrożny w kontaktach z nim i pewnie nie znajdowałbym się tam, gdzie teraz jestem, wygnany na drugą stronę granicy, gdzie potężne mgły tworzą się z zadziwiającą regularnością. Te mgły, gęste i szare, wpełzają mi do gardła i uniemożliwiają jakiegokolwiek oddychanie.

Przez cały ten ranek usiłowałem wypełnić tyle formularzy, ile tylko było możliwe, cokolwiek, byle nie myśleć o tych wszystkich okolicznościach, które wpływały na mój stan, wliczając w to zbliżający się lunch z Ribello. Przyniosłem zresztą ze sobą jedzenie, które mógłbym trzymać w mojej teczce, bez obawy że zepsuje się zbyt szybko. Po kilku godzinach potrzeba skonsumowania tych rzeczy zaczęła mnie całkowicie pochłaniać, jednakże Ribello nie dawał w ogóle żadnego znaku, że chce wstać i zabrać mnie do tego miejsca, o którym wspominał. Nie wiem, która godzina była, ponieważ w biurze nie było zegara, a żaden z pracowników nie wydawał się zbierać do przerwy obiadowej lub czegokolwiek takiego. Niebawem zacząłem odczuwać zawroty głowy i niepokój i bardziej niż jedzenia zacząłem potrzebować lekarstw, które zostawiłem w moim jednopokojowym mieszkaniu.

Nie mogłem dostrzec nic z tego, co działo się za oknem, ze względu na nadzwyczaj gęstą mgłę, która utworzyła się rankiem i zawisła nad miastem na resztę dnia. Niemal skończyłem wypełnianie formularzy, które leżały na moim biurku, a których było o wiele więcej niż początkowo sądziłem, że będę zdolny wypełnić. Gdy zostało mi już tylko kilka

dokumentów do uzupełnienia, starsza kobieta, która siedziała w rogu, rzuciła na moje biurko kolejną ryżę, która była dwa razy większa niż pierwsza i która swobodnie uderzyła o blat z głośnym grzmotem. Patrząc, jak kobieta, utykając, wraca na swoje miejsce w rogu, oddychając ociężale po tym pełnym wysiłku przenoszeniu ciężkiej sterty dokumentów. Kiedy odwróciłem się na moim krześle, ujrzałem, jak Ribello uśmiecha się, głupawo spoglądając na mnie i pokazując na zegarek. Następnie wyciągnął płaszcz spod biurka. Wyglądało na to, że nadszedł dla nas czas lunchu, choć żadna z osób w biurze nawet nie mrugnęła, gdy przechodziliśmy obok nich, kierując się w stronę tylnych drzwi, na które Ribello wskazał.

Na zewnątrz znajdowała się wąska uliczka, która przebiegała tuż za naszym biurem i sąsiadującymi z nim budynkami. Kiedy tylko wyszliśmy, zapytałem Ribello, która jest godzina, jednakże jedyną jego odpowiedzią było, że „musimy się spieszyć, jeśli chcemy się tam dostać przed zamknięciem”. Ostatecznie, zorientowałem się, że nadszedł już koniec dnia roboczego, lub przynajmniej tego, co dnem roboczym się wydawało. „Godziny pracy są nieregularnie” - poinformował mnie Ribello, gdy zśliśmy w dół ulicy. Tylnie ściany różnych budynków stały po prawej stronie, zaś wysokie, drewniane ogrodzenia innych wyrastały po lewej; mgła przyklejała się jednym i drugim..

„Co masz na myśli, mówiąc „nieregularne”?” – zapytałem.

„Powiedziałem „nieregularne”? Miałem na myśli *nieokreślone*” – odparł. „Zawsze jest mnóstwo roboty do zrobienia. Jestem pewien, że inni bardzo się ucieszyli na Twoje przybycie tego ranka, tak mocno jak ja, nawet jeśli tego nie okazali. Zawsze pracujemy w niedoborze. W porządku, jesteście na miejscu.” – powiedział Ribello, prowadząc mnie w ukryte w alejce drzwi, nad którymi świeciło się przytłumione światło.

To było małe miejsce, niewiele większe niż moje jednopokojowe mieszkanie, z ledwie kilkoma stolikami. Nie było żadnych klientów oprócz nas, a większość świateł była zgaszona. „Ciągłe macie otwarte, prawda?” – powiedział Ribello do mężczyzny w brudnym fartuchu, który wyglądał, jak gdyby nie golił się od kilku dni.

„Niebawem zamykamy” – powiedział człowiek. – „Siadajcie tam”.

Usiedliśmy tam, gdzie nam kazano i po błyskawicznym zamówieniu kobieta przyniosła nam dwie filiżanki kawy, rzucając je niemal na blat stolika. Spojrzałem na Ribello, jak wyciąga zawiniętą w papier kanapkę, którą chował w kieszeni płaszcza. „Nie przyniosłeś sobie lunchu?” Powiedziałem mu, że spodziewałem się, iż pójdziemy do miejsca, w którym podają jedzenie. „Nie, to tylko kawiarenka” – powiedział Ribello, nadgryzając swoją kanapkę. „Ale się tym nie przejmuj. Kawa tutaj jest bardzo mocna. Po wypiciu filiżanki minie ci cały apetyt. No i będziesz w stanie zmierzyć się z tymi wszystkimi formularzami, którymi Erma zarzuciła ci biurko. Byłem pewien, że ich nie udźwignie i się przewróci.”

„Nie piję kawy” – powiedziałem. „Sprawia, że jestem...” – nie chciałem powiedzieć, że po kawie robię się okropnie nerwowy, jak zapewne rozumiesz. Powiedziałem zatem, że po prostu za kawą nie przepadam.

Ribello odłożył na chwilę kanapkę i zaczął się we mnie wpatrywać. „O cholera...” – powiedział, gładząc się ręką po łysiejacej głowie.

„Co się stało?”

„Hatcher nie pił kawy”

„Kim jest Hatcher?”

Ribello podniósł kanapkę i kontynuował, jednocześnie jedząc. „Hatcher był pracownikiem, którego miałeś zastąpić. To jest historia, którą chciałem ci opowiedzieć na osobności. O nim. Ale wygląda na to, że mogłbym w ten sposób zrobić więcej szkody niż pożytku. Naprawdę chciałem ci pomóc we wdrożeniu się.”

„Może jednak?” – powiedziałem, spoglądając na Ribello, kończącego jeść kanapkę.

Ribello otrzepał dłonie z okruchów, które się do nich przykleiły i poprawił swoje niedopasowane okulary, które wyglądały tak, jakby w każdej chwili mogły się ześlizgnąć mu z nosa. Następnie wyjął paczkę

papierosów. Choć nie zechciał mnie wcześniej poczęstować kanapką, ochoczo zaproponował mi jednego.

„Nie palę” – powiedziałem mu.

„A powinieneś, zwłaszcza jeśli nie pijesz kawy. Hatcher palił, ale akurat jego ulubione papierosy były bardzo łagodne. Nie przypuszczam, żeby to miało znaczenie, to że nie palisz, zwłaszcza odkąd zabroniono nam palenia w biurze. Takie dostaliśmy przykazanie z centrali. Powiedzieli, że dym przesiąka do formularzy. Nie mam pojęcia, jaką to im robiło różnicę.”

„A co z tym zapachem kisonki?”

„Z jakichś powodów to akurat im nie przeszkadza.”

„Dlaczego po prostu czasami nie wyjdiesz z biura i nie zapalisz w alejce?”

„Mamy za dużo pracy do zrobienia. Każda minuta się liczy. Poza tym, mamy za mało pracowników. Zawsze mieliśmy ich za mało, ale robotę i tak trzeba wykonać. Nigdy nie mówili ci, o co chodzi z godzinami pracy?”

Nie byłem pewny, czy mogę ujawnić, że swoją pracę w firmie zawdzięczam nie jakimś swoim specjalnym staraniom, ale wpływom lekarza, który jest jedynym doktorem w tym małym, składającym się z dwóch uliczek mieście. To on zapisał mi adres biura na karcie recepty, jakby praca dla Organizacji Quine była kolejnym lekiem, jakim zamierzał mnie kurować. Byłem podejrzliwy, zwłaszcza po sprawie z lekarzem, który leczył nas obydwu od tak dawna. Jego pomysł na terapię, jak wiesz z mojego poprzedniego listu, polegał na tym, aby wsadzić mnie do pociągu, podróżującego przez cały kraj, aż za granicę. To miało pomóc mi w przewyciężeniu lęku przed pozostawianiem zbyt daleko od domu i, być może, przełamać pozostałe lęki, towarzyszące mojemu stanowi nerwowemu. Mówiłem mu, że prawdopodobnie nie zniósę takiej podróży, ale jedyną jego odpowiedzią była ta idiotyczna maksyma, że nie ma na świecie rzeczy, której nie można wytrzymać. Żeby sprawę uczynić jeszcze trudniejszą, nie pozwolił mi zabrać ze sobą żadnych leków, choć oczywiście to zrobiłem. Ale to i tak ani trochę mi nie pomogło, nie kiedy przemierzałem góry z bezdennymi przepaściami po jednej stronie pociągu

i nieskończonymi otchłaniami nieba nad nim. W tych chwilach, które zdawały się trwać wiecznie, zapewniam Cię, nie miałem żadnego osobistego umiejscowienia we wszechświecie; nic, czego mógłbym się chwycić dla zapewnienia sobie podstawowego poczucia bezpieczeństwa, którego każde stworzenie potrzebuje wyłącznie po to, by żyć bez cierpienia spowodowanego wrażeniem, że wszystko kręci się coraz szybciej na kosmicznej karuzeli, poza krawędziami której rozciąga się jedynie nieskończona czern. Wiem, że twój stan jest zupełnie inny od mojego, co nie pozwala Ci zupełnie zrozumieć moich przeżyć, podobnie jak ja nie mogę w pełni pojąć Twoich. Ale wiem, że i Twój i mój stan są udręką nie do wytrzymania, pomimo tej mądrości z drugiej ręki, którą powtarza nasz lekarz, że nie ma na świecie rzeczy, której nie można wytrzymać. Zacząłem nawet wierzyć w to, że świat jako taki, w swej naturze, jest czymś nie do zniesienia. Różnimy się tylko i wyłącznie sposobami, jakimi odpowiadamy na to poczucie: mój częsty, pasywny strach, osiągający stadia absolutnej paniki, i Twoja ciągła obawa, że spełnią się kiedyś wszystkie Twoje koszmary. Kiedy pociąg, do którego wsadził mnie doktor zatrzymał się w tym małym, składającym się z dwóch uliczek mieście po drugiej stronie granicy, przysięgłbym, że prędzej zabiłbym się, niż ruszył w drogę powrotną. Szczęśliwie, tak się przynajmniej wydawało, szybko znalazłem lekarza, który zechciał leczyć mnie tutaj z mojego stanu ciężkiej dezorientacji i ostrej paniki. Także on pomógł mi w uzyskaniu wizy i pozwolenia na pracę. Dlatego też, po rozważeniu całej sprawy, ostatecznie wyjawilem Ribello, że wszelkie referencje odnośnie do mojej posady w biurze wyszły od mojego lekarza.

„To wiele wyjaśnia” – powiedział

„Co wyjaśnia?”

„Wszyscy lekarze pracują dla Organizacji Quine, Prędzej czy później, wprowadziłby cię. Tak wprowadzono Hatchera. Ale on nie dał rady. Nie mógł znieść faktu, że jest nas tak mało i że zawsze będzie nas tak mało. A kiedy zorientował się co do tych nieokreślonych godzin...Eksplodował, w biurze.”

„Miał załamanie?”

„Myślę, że można tak to określić. Pewnego dnia wyskoczył zza biurka i zaczął grzmieć, jak to zawsze było nas zbyt mało...i o tych nieokreślonych godzinach. Później zrobił się agresywny, wyrzucił kilka pustych biurek, krzycząc, że już ich nie będziemy potrzebować. Wyciągnął też kilka szuflad, rozrzucając ich zawartość po pomieszczeniu. W końcu zaczął drzeć formularze, nawet te, które jeszcze nie były wypełnione. Wtedy Pilsen musiał interweniować.”

„Który to?”

„Duży facet z wąsami, który siedzi z tyłu biura. Chwytał Hatchera i wyrzucił na ulicę. Tego było już dla niego dość. W ciągu kilku dni został oficjalnie zwolniony z pracy; sam wypełniałem zresztą stosowny formularz. Nie było dla niego już żadnego odwrotu. Był kompletnie wykończony.” – powiedział Ribello, popijając kawy i zapalając kolejnego papierosa.

„Nie rozumiem. W jaki sposób został „wykończony”?” – zapytałem.

„To się nie stało w jednej chwili.” – wyjaśnił Ribello. „To się tak nigdy nie dzieje. Mówiłem Ci, że Hatcher palił bardzo łagodne papierosy, które sprowadzał na specjalne zamówienie. Cóż, pewnego dnia poszedł do sklepu, w którym zwykł zamawiać tytoń, i tam dowiedział się, że marka, której używał, a która była jedyną, którą tolerował, nie była już więcej dostępna.”

„To jeszcze nie koniec świata.” – powiedziałem.

„Nie, samo w sobie na pewno nie.” – odparł Ribello – „ale to był jedynie początek. Ta sama rzecz co z papierosami, przydarzyła mu się, kiedy próbował zaopatrzyć się w specjalną żywność, której wymagała dieta, na której się znajdował. To również było już niedostępne. Co najgorsze, w sklepach nie było też żadnego z leków, których potrzebował, albo tak mu przynajmniej powiedziano. Hatcher potrzebował całej szafy leków; o wiele więcej niż ktokolwiek, kogo kiedykolwiek poznałem. Najważniejsze były dla niego środki, które brał, aby kontrolować jakoś swoje fobie. Szczególnie mocno cierpiał z powodu bardzo ostrej arachnofobii. Pamiętam, jak pewnego dnia w biurze zauważył pająka,

pełzającego po suficie. Zawsze był wyczulony na obecność choćby najmniejszych pajaków. Dostał ataku hysterii, nalegając, aby ktoś z nas pozbył się insekta, albo on nie będzie wypełniać formularzy. Cóż, musieliśmy zacząć się wspinać po tych wszystkich szafkach, aby jakoś pochwycić to stworzenie. Kiedy Pilsen w końcu je złapał i zabił, Hatcher domagał się, aby pokazać mu jego zwłoki, a następnie wyrzucić je na ulicę. Musieliśmy nawet wezwać firmę eksterminacyjną, na koszt przedsiębiorstwa, zanim Hatcher był w stanie wrócić do pracy. Ale po tym, jak go zwolniono, Hatcher nie mógł już dłużej kupować swoich leków, dzięki któremu trzymał swoje fobie pod taką kontrolą. Oczywiście, żaden lekarz nie chciał mu pomóc, odkąd wszyscy, co do jednego, są pracownikami Q.Org.”

„A co z lekarzami po drugiej stronie granicy?” – zapytałem – „Czy oni także pracują dla firmy?”

„Nie jestem pewien.” – powiedział Ribello – „To możliwe. Tak czy inaczej, zobaczyłem Hatchera pewnego dnia, gdy szedłem do pracy. Zapytałem go, jak sobie radzi, choć było oczywiste, że jest kompletnym wrakiem, niemal zupełnie wykończonym. Powiedział, że leczy się na swoje fobie u pewnej starej kobiety, żyjącej na obrzeżach miasta. Nie sprecyzował, na czym miało polegać to leczenie, a ja, ponieważ spieszyłem się do biura, nie nalegałem, aby mi o tym powiedział. Później dowiedziałem się, że staruszka, która była znana z przyrządzania różnych wywarów z ziół i roślin, leczyła arachnofobię Hatchera jakąś substancją, wydestylowaną z trucizny pająka.”

„Trochę jak leczenie homeopatyczne” – powiedziałem.

„Być może” – odrzekł zdystansowanym tonem Ribello.

W tym momencie nieogolony mężczyzna podszedł do naszego stolika, by oznajmić, że już zamykają. Odkąd Ribello zaprosił mnie na lunch, przypuszczałem, że zapłaci on za obydwie kawy, tym bardziej, że swojej nawet nie tknąłem. Ale zauważyłem, że na stoliku zostawił pieniądze tylko za siebie, toteż musiałem zrobić to samo. Wtedy, tuż przed tym, jak opuściliśmy lokal, szybko odwrócił się, sięgnął do mojej nie napoczętej filiżanki i wypił jednym łykiem.

„Bez sensu, żeby się zmarnowało.” – powiedział.

Wracając od biura przez wąską, wypełnioną mgłą alejkę, poprosiłem Ribello, żeby powiedział mi coś jeszcze o człowieku, po którym miałem wypełnić miejsce w biurze. Jego odpowiedź z pewnością nie rozjaśniła mi sprawy i wydawała się zbaczać w sferę pogłosek i różnych plotek. Ribello nigdy już więcej nie zobaczył Hatchera po tamtym spotkaniu na ulicy. W rzeczywistości, w tym samym czasie Hatcher zniknął, co było – w oglądzie Ribello – kulminacją jego ruiny.

Okazało się, że wiele spośród tych historii, jakkolwiek dziwaczne by one nie były, krążyło wokół miasteczka, które zdawało się być w jakiś sposób związane ze sprawą Hatchera. Bez wątplenia inni, oprócz Ribello, również byli świadomi terapii, jakiej Hatcher poddał się u starej kobiety, żyjącej na obrzeżach miasta. To zresztą wydawało się być podstawą tych wszystkich szerzących się anegdotek, które brały swój początek pomiędzy dziećmi i były ze średnią raczej atencją traktowane przez przeciętnych mieszkańców miasta. Najczęstszą spośród tych opowieści była ta o pojawieniu się jakiegoś „pajęczaka”, rozmiarami przypominającego kota. To fantastyczne stworzenie było rzekomo widziane przez kilkoro dzieci, bawiących się na ulicach i tylnych alejkach miasteczka. Nazywały je „stworkiem”, zaś źródłem tego dziecięcego określenia było to, że stworzenie, oprócz swojego podobieństwa do ogromnego pajaka, wydawało się także mieć wyrastającą z ciała guzowatą narośl, która bardzo przypominała ludzką głowę. Ten aspekt został zresztą potwierdzony przez kilka nieco starszych osób, których poświadczenia były jednak niezmiennie odrzucane, jako urojeniowy efekt uboczny leków, które im przepisano, choć na dobrą sprawę każda osoba w mieście mogłaby zostać w swoich poświadczeniach zdyskredytowana z tego powodu, odkąd oni wszyscy, to znaczy my wszyscy, musieliśmy zażywać jakieś leki, aby móc funkcjonować w normalny sposób. Aż w końcu przyszedł czas, kiedy ujawnienia się tak zwanego „potworka” ustały, zarówno wśród dzieci, jak i wśród odurzonych lekami dorosłych ludzi. Wtedy również definitywnie przestano widywać Hatchera.

„Po prostu opuścił swoje mieszkanie, nic ze sobą nie zabierając.” – powiedział Ribello, kiedy osiągnęliśmy tylne drzwi biura. „Wydaje mi się, że mieszkał gdzieś niedaleko ciebie, być może nawet w tym samym budynku. Słyszałem też, że kobieta, która prowadzi pensjonat, w którym mieszkał, w ogóle nie była poruszona jego zniknięciem, zwłaszcza odkąd zaczął domagać się, aby jakoś załagodziła jego fobie poprzez wzywianie firmy eksterminacyjnej co najmniej raz w tygodniu.”

Przytrzymałem drzwi dla Ribello, ale nie wszedł już do budynku. „O nie.” – powiedział. „Skończyłem na dziś. Idę do domu trochę się przespać. Wiesz, musimy czasami odpoczywać, jeśli chcemy wypełniać formularze dla naszej firmy w maksymalnie efektywny sposób. Ale wkrótce się zobaczymy.”

Po chwili nie mogłem już dostrzec Ribello, który zniknął w gęstej mgłę. Wróciłem do biura, zaś moje myśli skupiały się na jednym: na jedzeniu, które trzymałem zamknięte w teczce. Ale nie udało mi się zrobić nawet dwóch kroków wewnątrz, gdy zostałem zapędzony przez Pilsena do rogu, tuż obok ubikacji. „Co takiego powiedział Ci Ribello?” – zapytał. „Pewnie coś na temat Hatchera?”

„Po prostu wyszliśmy na chwilę na kawę” – odparłem, chcąc z jakiegoś powodu zachować lojalność wobec Ribello.

„Ale nie wzięłeś sobie lunchu. Pracowałeś cały dzień i nic nie jadłeś. A to przecież Twój pierwszy dzień w pracy. I Ribello nie upewnił się, że masz ze sobą jedzenie?”

„Skąd wiesz, że nie poszliśmy po prostu do restauracji lub baru?”

„Ribello chodzi w tylko jedno miejsce” – powiedział Pilsen.

„A tam akurat nie serwują potraw.”

„Owszem, przyznaję, byliśmy w miejscu, gdzie nie podają niczego do jedzenia, a teraz jestem wygłodzony. Więc, jeśli pozwoliłbyś mi wrócić do mojego biurka...”

Niestety, Pilsen, duży facet z dużymi wąsami, chwycił mnie za kołnierz płaszczka i zaciągnął do toalety.

„Co Ribello nagadał ci o sprawie Hatchera?”

„Czemu sam go nie zapytasz?”

„Ponieważ to urodzony kłamca. To jego choroba – zresztą, jedna z wielu. Przecież widzisz, jak się ubiera, jak wygląda. Jest też lunatykiem, choć oczywiście to dobry pracownik. Ale cokolwiek powiedział ci o Hatcherze, jest kompletną bujdą.”

„Pewne rzeczy rzeczywiście wydawały się nieco naciągane...” – powiedziałem, schwytny w sprzeczność pomiędzy lojalnością wobec Ribello, który być może rzeczywiście był genetycznym kłamcą, a Pilsenem, który był dużym człowiekiem i kimś, kogo raczej nie chciałbym urazić.

„Naciągane to dobre słowo. W rzeczywistości Hatcher został awansowany na posadę w jednym z centrów regionalnych firmy. Niewykluczone, że teraz pracuje już w centrali głównej. To bardzo ambitny człowiek.”

„Więc nie ma już nic więcej do powiedzenia w tej sprawie. Doceniam to, że zechciałeś rozwiać moje obawy związane ze sprawą Hachera. A teraz, jeśli nie masz nic przeciw, chciałbym wrócić do swojego biurka. Jestem naprawdę strasznie głodny.”

Pilsen nie powiedział już niczego, ale wpatrywał się we mnie, gdy szedłem w stronę mojego stanowiska. Czułem też, że obserwuje mnie ze swojego miejsca z tyłu biura. Kiedy jadłem te kilka rzeczy, które trzymałem w teczce, starałem się też dość jawnie pokazać wszem i wobec, że jednocześnie wypełniam formularze, nie ociągając się ze swoją pracą. Pomimo to nie byłem pewien, czy to wściekłe wypełnianie formularzy było w jakikolwiek sposób potrzebne, biorąc pod uwagę wzmianki Ribello o ogromnej ilości pracy, którą byliśmy zmuszeni wykonać tak skromnym zespołem. Zastanawiałem się, czy Pilsen nie miał racji, mówiąc o Ribello. Zastanawiałem się też, czy twierdzenia Ribello o „nieokreślonych” godzinach pracy miały cokolwiek wspólnego z prawdą. W końcu minęło wiele godzin odkąd wczesnym rankiem przyszedłem do biura i nikt, z wyjątkiem Ribello, nie wstał zza biurka i nie poszedł do domu. W końcu usłyszałem jedną z siedzących za mną osób, jak wstaje zza swojego miejsca. Chwilę później minął mnie Pilsen, niosąc w ręku swój płaszcz. Niósł także dużą teczkę, więc kiedy w końcu opuścił biuro przez frontowe

drzwi, powziąłem przypuszczenie, że wychodził na resztę dnia – choć był już przecież wieczór. Odczekałem chwilę i zrobiłem to samo.

Zdołałem odejść jedynie kawałek od biura, kiedy zobaczyłem Ribello zmierzającego w moim kierunku. Był teraz ubrany w inny zestaw niedopasowanych ubrań. „Wychodzisz już?” – zapytał, zatrzymując się przede mną na chodniku.

„Myślałem, że poszedłeś do domu się przespać.” – powiedziałem.

„Poszedłem do domu, przespałem się, a teraz wracam do pracy.”

„Rozmawiałem z Pilsenem, choć właściwie to raczej on rozmawiał ze mną.”

„Rozumiem, bardzo dobrze rozumiem. I pewnie pytał cię o to, co takiego mogłem ci powiedzieć o sprawie Hachera?”

„Właśnie tak było.” – odparłem.

„I pewnie powiedział Ci, że wszystko, co mówiłem to brednie, a ja sam jestem jakimś zadeklarowanym malkontentem, który wymyśla różne bajeczki ukazujące firmę w złym świetle?”

„Coś pomiędzy tymi wierszami” – potwierdziłem.

„Przecież nie mógł ci powiedzieć niczego innego.”

„A to dlaczego?”

„Bo jest szpiegiem firmy. Nie chce, żebyś wiedział co się święci wokół już od pierwszego dnia pracy. A szczególnie mocno nie chce, żebyś usłyszał cokolwiek o Hatcherze. To on był odpowiedzialny za oficjalne informacje na temat Hachera i to on zaczął całą sprawę. To również on Hachera wykończył. Ta stara kobieta, żyjąca na obrzeżach miasta, o której Ci wspominałem, pracuje dla wydziału farmaceutycznego firmy; i Pilsen też ma na nią oko. Słyszałem od człowieka, który pracuje w jednym z centrów regionalnych, że staruszkę zaangażowano do jednego z największych projektów firmy – specjalnej linii leków, które byłyby w stanie uleczyć wszelkiego rodzaju szczególne zaburzenia, jak na przykład ostrą arachnofobię Hachera. Gdyby to się udało, Q.Org stałaby się ze dwa razy większą firmą niż jest dziś, i to po obydwu stronach granicy. Ale pojawił się pewien problem.”

„Nie jestem pewien, czy chcę o tym słuchać.”

„To akurat powinienes uslyszec. Staruszkę niemal zwolniono z listy plac, poniewaz w swoich badaniach wykorzystywała nieco więcej, niż tylko swoją ezoteryczną wiedzę o ziołach i roślinach. Inżynierowie farmaceutyki z kwatery głównej przekazali jej bardzo dokładne instrukcje postępowania przy pracach nad wariacjami ich podstawowej formuły. Ale ona poszła w zupełnie inną stronę, wikłając się w nie sankcjonowane praktyki, przede wszystkim te okultystycznej natury.”

„Powiedziałaś, że *niemal* ją zwolnili.”

„Zgadza się. Oskarżyli ją o zniknięcie Hatchera. Hatcher był dla nich bardzo ważny, jako przedmiot eksperymentu. Wszystko ukartowano tak, by zrobić z niego królika doświadczalnego – odmawiając mu jego papierosów, uniemożliwiając dietetyczne odżywianie i blokując dostęp do lekarstw. No i narobili mu tym poważnych kłopotów. Hatchera trzeba było oczyścić, aby mógł przyjąć substancję, którą staruszka, wraz z farmaceutami firmy, zamierzali mu podać. Coś związanego z tą pajęczą trucizną. Ale, jak powiedziałem, stara kobieta uciekała się do praktyk, które nie były uznawane przez firmę. A oni musieli zrzucić na kogoś winę za zniknięcie Hatchera. To właśnie dlatego nieomal jej nie zwolnili.

„Więc Hatcher był tylko eksperymentem...” – powiedziałem.

„Tak się dzieje, gdy wybucha się tak, jak on, kiedy wygłasza się tyrady o niekończącej się pracy, z którą musieliśmy sobie poradzić i o tym, jak to firma zawsze zostawiała nas w tak okrojonym składzie. Tak czy owak, pozostaje jedno pytanie. Czy eksperyment na Hatcherze okazał się sukcesem, czy porażką?”

Wówczas Ribello spojrział na zegarek i powiedział, że o Hatcherze, Organizacji Quine i wielu innych sprawach, którymi chciał się ze mną podzielić, pogadamy później. „Tak bardzo ucieszyłem się, gdy zobaczyłem Cię wchodzącego do biura rano. Mamy tyle formularzy do wypełnienia. Więc co, zobaczymy się za kilka godzin?” Bez czekania na moją odpowiedź Ribello ruszył chodnikiem w dół ulicy, w stronę naszego biura.

Kiedy wreszcie dotarłem do drzwi swojego jednopokojowego mieszkania, wszystko we mnie wręcz krzyczało o sen i lekarstwa. Ale zatrzymałem się, słysząc kroki zmierzające w moją stronę z głębi ciemnego

korytarza. Była to gospodyni, która niosła w ramionach coś, co wyglądało jak toból brudnej pościeli.

„Pajęczyny” – powiedziała, choć o nic nie pytałem. Odwróciła się i spojrzeniem wskazała na znajdujące się na końcu korytarza rozkładane schody, które prowadziły na strych. „Dbamy, aby nasze domy były czyste, bez względu na to, co ludzie spoza granicy sobie o tym myślą. To dużo pracy, ale przynajmniej zaczęłam.”

Nie mogłem pomóc, ale stałem tak i wpatrywałem się w ciszy w niesamowitą ilość zbitej w gęstą watę pajęczyny, którą kobieta zносиła teraz w ramionach, schodząc w dół. W głowie zaświtała mi pewna niejasna myśl i zawołałem na nią. „Jeśli już pani skończyła, to mogę schować te schody z powrotem.”

„Bardzo miło z Twojej strony, dziękuję.” – odrzyknęła z klatki schodowej. „Niebawem zjawi się tutaj firma eksterminacyjna, tak, jak proszę. Nie wiem dokładnie, co się tam znajduje, ale jestem pewna, że to coś, z czym sama sobie raczej nie poradzę.”

Zrozumiałem, co miała na myśli ledwie chwilę po tym, jak wszedłem na górę i zobaczyłem to, co widziała przed chwilą. Na szczycie schodów paliła się pojedyncza żarówka, która jednakże nie mogła rozświetlić tej rozległej, zacienionej przestrzeni. Tym, co ujrzałem, były martwe ciała, lub fragmenty ciał, więcej niż kilku szczurów. Niektóre z tych stworzeń wyglądały, jakby uciekły z gęstych, kłębiących się pajęczyn, które kobieta prowadząca pensjonat niosła przed chwilą w ramionach. Przylegały one do ciał gryzoni, tak jak gęsta mgła przylega do wszystkiego w tym mieście. Co więcej, wszystkie z tych ciał zdawały się znajdować w stanie deformacji... lub, być może, przemiany. Kiedy przyjrzałem się im bliżej, zauważyłem, że oprócz czterech łapek, danych im przez naturę, z ich podbrzuszy zaczęły wyrastać dodatkowe cztery odnóża. Cokolwiek zabiło te gryzonie, zaczęło także je przemieniać.

Ale nie wszystkie zakażone szczury zdechły lub zostały częściowo zjedzone. Oglądając później strych, po tym jak przekonałem gospodynię, by jednak wstrzymała się z wzywaniem firmy eksterminacyjnej, odkryłem liczne szczury i inne szkodniki, w których ciałach zaszły daleko idące

zmiany. Te zmiany tłumaczyły wszystkie tajemnicze hałasy, które słyszałem od chwili wprowadzenia się do mojego jednopokojowego mieszkania, znajdującego się tuż pod strychem budynku. Kilka ze stworzeń miało po osiem odnóży równej długości i było już zdolnych do chodzenia po ścianach strychu lub nawet pełznięcia po pochyłym suficie tuż pod dachem. Inne rozpoczęły już tkanie własnych sieci. Wydaje mi się, mój przyjacielu, że w tym opisie rozpoznasz jedną ze swoich najstraszniejszych obsesji. Na szczęście do moich własnych strachów arachnofobia się nie zalicza, tak, jak to było w przypadku Hatchera (pomimo to, wziąłem solidną dawkę leków przed wstąpieniem na strych). Kiedy w końcu odnalazłem go w najodleglejszym z rogów strychu, ujrzałem guzowatą ludzką głowę, wyrastającą z bladego, pękatego cielska wielkiego pająka lub pajęczaka. Znajdował się właśnie w momencie wstrzykiwania swojej trucizny w ciało innego szkodniczego mieszkańca strychu. Kiedy tylko jego poduszkiowate oczka zauważyły moją obecność, wypuścił trzymane stworzenie, które piszcząc uciekło, by zacząć swoją własną transformację.

Nie wyobrażałem sobie, aby Hatcher chciał kontynuować swoje istnienie w takim stanie. Kiedy zbliżyłem się do niego, nie okazał żadnej agresji i nie chciał też uciekać. A kiedy wyjąłem nóż do mięsa, który ze sobą zabrałem, wydawało mi się, że podniósł głowę, ukazując swoje cienkie gardło. Podjął swoją decyzję, podobnie jak ja podjąłem moją: nigdy już nie wróciłem do witrynowego biura by wypełniać formularze dla Organizacji Quine, której pracownikami są wszyscy lekarze po tej stronie granicy... i być może po Twojej stronie też. Jestem już niemal całkiem pewny, że nasz doktor już od dawna pracował dla tej firmy. Zresztą, jego winię najmniej za te moją ucieczkę do tego odległego, składającego się z dwóch ulic miasta mgieł i koszmarów. Co najgorsze, wydaje mi się, że było jego zamiarem przerzucić mnie przez granicę, abym stał się kolejnym niewolnikiem lub zwierzątkiem doświadczalnym firmy, której służy.

Przygotowałem dwie dawki trucizny, którą wypreparowałem z ciała Hatchera. Pierwszej już użyłem na lekarzu, który kurował mnie po tej stronie granicy, nawet jeśli kulminacją tego leczenia miało być

uwięzienie w biurze przy wypełnianiu teczek i dokumentów przez nieokreśloną liczbę godzin; tych nędznych resztek mojej nieokreślonej egzystencji. Wciąż patrzę na niego, jak cierpi przez swoje bolesne mutacje, podczas gdy ja mogę wreszcie obsłużyć się wszystkimi tymi lekami, które powyciągałem z szuflad jego gabinetu. Zanim nadejdzie ranek, wybawię go z jego udręki, a jego lekarstwa wybawią mnie z mojej.

Drugą fiolkę z trucizną przesyłam Tobie, mój przyjacielu. Od tak dawna cierpisz na swoje straszliwe lęki, których nasz lekarz nie mógł lub nie chciał załagodzić. Zrób z tym lekarstwem to, co musisz zrobić. Zrób to, co dyktują Ci twoje obsesje. Możesz nawet rozważyć, kiedy przyjdzie odpowiedni moment, przekazanie naszemu doktorowi moich serdecznych pozdrowień i przypomnienie mu, że nie ma na świecie takiej rzeczy, której nie można wytrzymać.